



ARCHIWUM
LEGIONÓW
i N. K. N.

Nr 327

leg. 353

Seweryn Smolikowski.

Ze wspomnień osobistych.

Reichenau. — Cesarz Franciszek Józef. — Arcyksiążę Karol Ludwik. — Nieznany dotąd memoriał w sprawie polskiej.

— — —
WARSZAWA.

Nakładem autora, na dochód Tow. Samarytanin.

1917.

leg. 353

Seweryn Smolikowski.

Ze wspomnień osobistych.

Reichenau. — Cesarz Franciszek Józef. — Arcyksiążę Karol Ludwik. — Nieznany dotąd memoryał w sprawie polskiej.



WARSZAWA.

Nakładem autora, na dochód Tow. Samarytanin.

1917.

Szewcyn Smolkowski.

Je wspomnień osobistych.

Warszawa. — Centralny Urząd Cenzury i Wydział Cenzury. —
Księgarnia „Ziemia” w Warszawie. —
polski.

Geprüft und freigegeben Presseverwaltung Warschau. 25.VIII. 1917. Nr. 6963, Dr. Nr. 143.



WARSZAWA

Wydawnictwo „Ziemia” w Warszawie.

Druk. Państw. Królestwa Polskiego.

ZE WSPOMNIENIŃ OSOBISTYCH.

I.

Cesarz Franciszek Józef

i zdanie jego o Polakach.

Począwszy od 1871 r. przez szereg lat z rządu spędzałem miesiące letnie w Reichenau pod Wiedniem, z kądem robiłem wycieczki w okolice górskie Semmeringu a zarazem często odwiedzałem stolicę Austro-Węgier, z którą łączyły mnie blizkie stosunki towarzyskie i naukowe. Jakkolwiek nie należałem do stałych kuracjuszy miejscowego zakładu kąpielowego, zwykle jednak tam zamieszkiwałem, bo znałem właścicieli tego zakładu braci Waissnix i cały jego personel administracyjny, który udogadniał mi pobyt i ułatwiał częste z zakładu wycieczki. Chodząc po górach okolicznych z zapalem młodego turysty nowicyusza i rokoszując się piękną, dziką przyrodą Schneebergu i Raxalpy, dałem się tak dalece unieść temu zapalowi oraz chęci doznania wrażeń nadzwyczajnych, że dnia pewnego, nie namyślając długo, zdobyłem się na krok nader ryzykowny i ze szczytów gór, okalających Reichenau, zjechałem pędem strzały na długiej belce sosnowej po rynnach, któremi miejscowi chłopci spuszczają do dolin ścięte na wyżynach kłody drzewne. Podróż ta karkołomna, zakończona szczęśliwie, bo, prócz potłuczenia przy upadku z dość znacznej wysokości, nie doznałem większych obrażeń, podróż ta oryginalna była właśnie powodem rozmowy mojej z cesarzem Franciszkiem Józefem, którą po latach przeszło 40 postaram się odtworzyć dokładnie.

Cesarz Franciszek Józef zjeżdżał czasami, lubo rzadko, de Reichenau na polowanie. Pałac późniejszy arcyksięcia Karola Ludwika wówczas dopiero budowano, zajeżdżał więc cesarz zwykle do zakładu hotelowego *Thalhof* i po krótkim tam pobycie wyruszał wraz ze swoim, nielicznym zresztą, otoczeniem, do szałasów myśliwskich w tej, lesistej jeszcze wówczas okolicy, pobudowanych. W Reichenau cesarz czuł się zupełnie jak u siebie w domu, lubił tę miejscowość a znał ją dobrze od czasu zwłaszcza jak młodziutki wówczas arcyksiążę Rudolf odbywał tu kurację hydropatyczną (ządą nazwa Rudolfsbad). Tu cesarz zapominał na chwilę o sprawach państwa, trudach rządzenia, etykiecie dworskiej i używał prawdziwego odpoczynku i pełnej swobody. Ktoś z moich znajomych, stałych mieszkańców Reichenau, zdaje się hr. Szechenyi, wspomniał cesarzowi o mojej karkołomnej podróży, wspomniał, bo na takim partykularzu, jakim było wówczas Reichenau, fakt ten urósł do zdarzenia nadzwyczajnego o którym skwapliwie opowiadali miejscowi mieszkańcy a zwłaszcza kuracyusze, urozmaicając sobie tem opowiadaniem monotonię pobytu w zakładzie leczniczym. Co do mnie wstydzilem się tego nierozważnego kroku i mówić o tem nie lubilem a nawet unikałem w tym celu spotkania ze znajomymi. Cesarz ciekawy był szczegółów tej mojej podróży i oznajmił życzenie widzenia mnie. I oto pewnego poranku zjawia się u mnie lekarz miejscowego zakładu Dr. Wallner, słynny z nadzwyczajnej otyłości a zarazem i wielkiej dobroci serca, wpada zadyszany i widocznie zakłopotany z wiadomością, że adjutant cesarski hr. N. za chwilę ma do mnie przybyć, zakłopotany był, bo, z powodu chwilowej nieobecności w Reichenau, nie wiedział o całej tej sprawie i nieumiał adjutantowi odpowiedzieć na zapytanie o mojem zdrowiu i czy wogóle mogę się ruszać po upadku z dość znacznej wysokości. Ja bardziej jeszcze zakłopotany jestem, rzekłem doktorowi, bo doprawdy niemam czem się chwalić przed cesarzem i dziś więcej niż kiedy żałuję tego waryackiego kroku. Niedokończyłem słów tych gdy ktoś lekko zapukał do drzwi i zaanonsował przybycie hr. N. Dr. Wallner dyskretnie i z wielką zręcznością, pomimo

swej tuszy, wysunął się z mego mieszkania, niskim ukłosem zapraszając do wejścia gościa, który z progu oświadczył, że przybywa z missywą cesarską. W pół godziny potem jechałem z adjutantem powozem dworskim, jechałem w zwykłym codziennym ubraniu, tak jak mnie zastano, a to na odpowiedzialność adjutanta, który zapewniał, że śniadanie na które byłem zaproszony, będzie miało charakter zupełnie *intime* bez etykiety dworskiej, radził tylko wziąć na siebie serdak tatrzański, który spostrzegł u mnie, z uwagi, że przyjęcie odbędzie się na tarasie a pora jest dość chłodną. W kilkanaście minut byliśmy już w Thalhofie, wnet przedstawiony zostałem cesarzowi, który, w kostiumie myśliwych styryjskich, wydawał rozporządzenia widocznie do zamierzonego polowania i słuchał raportów leśniczych. Przywitał mnie uprzejmie i zaczął od tego, że dowiedziawszy się, iż ktoś z gości przybyłych do Reichenau wykonał tak oryginalną i niebezpieczną wycieczkę, domyślił się, że jestem Polakiem, „bo Polacy, zauważył, są śmiali i ryzykowni“, ale dodał „gdybym był ojcem pana gniewałbym się za ten krok szalonej odwagi ale i niebezpieczny zarazem i mam nadzieję, że drugi raz nie przedsięwzięmiesz pan tej samobójczej podróży“. Przyznając, rzekłem, że był to krok nierozważny i wstydę się go. „Niechże Pan mi opowie, jakich doznał pan wrażeń, lecąc jak strzała wśród naszych gór“, rzekł cesarz, „a głównie, jakim sposobem uniknąłeś Pan śmierci a co najmniej kalectwa, bo to zadziwiające i szczęśliwe zarazem, że lecące za panem belki nie zasypały go“? Opowiedziałem szczegółowo całą tę podróż i zastosowanie sposobu, jakiego użyłem, żeby złagodzić spadek belki przy jej wylocie z rynny na dolinę. Cesarz słuchał z uwagą i potakiwał głową, a gdy skończyłem, uśmiechnął się, poklepał mnie po ramieniu i rzekł: „ale użyłeś Pan jazdy nadzwyczajnej, jakiej nikt prawdopodobnie nie próbował, wiesz Panu z całego serca, żeś z niej wyszedł cało i żadnego szwanku nie poniósł, boby szkoda było pańskiego młodego życia, tembardziej, że, jak słyszałem, życie to jest cenne, bo pomimo tak młodego wieku kochasz pan naukę, a przytem tu w Reichenau dałeś pan dowody dobrego serca i poświę-

czenia dla innych*), za co w zastępstwie burmistrza, którego tu nie widzę“, mówiąc to obejrzał się po otoczeniu swoim i z uśmiechem dodał, „jako burmistrz przypadkowy tej miejscowości (Ortschaft), serdecznie panu dziękuje“. Cieszę się odpowiedziałem, że miałem możność tu w Reichenau nieść pomoc w dwóch wypadkach nieszczęśliwych, niech to wynagrodzi choć w części błąd nierozwagi, jaki popełniłem nierozsądną moją jazdą na improwizowanym drewnianym koniu, ale skoro ta jazda była powodem, że mam szczęście słyszeć dobrotliwe słowa z ust Waszej Cesarskiej Mości, nie żałuję już i tego wybryku młodości, przyczem ośmielam się nadmienić, że miłościwe słowa Waszej Cesarskiej Mości odczuwam tem goręcej, że jestem polakiem i jako taki szczęśliwym się czuję, że stoję przed monarchą, pod którego berłem swobodnie kwitnie narodowość nasza i zabezpieczoną jest skarbnica naszej przeszłości i pamiątek historycznych — Kraków, ów Kraków do którego grawitują z utęsknieniem serca wszystkich polaków, odczuwających tem bardziej ciężkie swoje położenie pod berłem innych władców.

„Pod moim rządem“, rzekł cesarz „Polacy mogą być bezpieczni, bo ja szanuję ich przeszłość, cenię ich rycerskość i szlachetność i w ogóle, dodał, kładąc rękę na mojem ramieniu, ja lubię was Polacy, lubię z wami przestawać, bo macie przytem wrodzoną dystynkcyę, która miłem i łatwem czyni wasze towarzystwo“. Zaledwie słowa te dokończył, gdy zdala odezwała się fanfara myśliwska, przybiegł adjutant, cesarz pożegnał mnie uprzejmie i zwracając się do grona osób, które nas otaczały, przeprosił, że nie może tym razem dotrzymać nam towarzystwa, ale zastąpi go przy śniadaniu synowiec jego, który oto nadchodzi. W parę minut potem odjechał cesarz powozem a to-

*) Cesarz miał tu na myśli uratowanie trojga zabłąkanych w górach okolicznych podczas burzy dzieci, oraz czynne i energiczne zaopiekowanie się oszalałym nagle grekiem, kuracyszem zakładu hydropatycznego Rudolfsbad i uratowanie tym sposobem najbliższego jego otoczenia od niechybnej śmierci, którą im groził z nożem myśliwskim w rękę.

warzystwo zebrane na tarasie skupiło się w około świeżo przybyłego arcyksięcia, któremu między innymi i mnie przedstawiono. Tymczasem muzyka wojskowa zagrała oberka styryjskiego. Ostre tony tej muzyki, tłumione ścianą szklaną oranżeryi, poza którą umieszczona była orkiestra, rozbrzmiewały przeciągłem i niknącem echem wśród gór Thalhofu. Przy dźwiękach tej muzyki, goście podążali ku oranżeryi, w której zastawione było przygodne śniadanie. Widząc sędziwą matronę o kiju w orszaku gości, podszedłem ku niej, żeby przypomnieć się jej znajomości i ewentualnie podać jej ramię, ale adjutant, mój opiekun, odgadując mój zamiar, trącił mnie lekko i szepnął, że ową damę dworską poprowadzi ktoś ze starszych, mnie zaś przedstawi młodej, pięknej osobie, której mam towarzyszyć przy stole. Niedokończył słów tych gdy nagle zastąpiła nam drogę urocza hrabianka Attems. „Niepotrzeba żadnych przedstawień“ rzekła dzwicznym swym głosem do adjutanta podając mi jednocześnie rękę, „p. S. jest moim znajomym“. „Dziwi się pan dodała“, zwracając się ku mnie, „że mnie tu widzi, ale żegnając się z panem nie wiedziałam jeszcze, że tu przybędę. Na dany rozkaz musiałam opuścić uroczą Wenecję i oto jestem w Reichenau, ale i tu pięknie nieprawdaż, ale, ale, rzekła grożąc mi nieznacznie, pan tu coś nabroił, będzie sąd dworski“. Dostyszawszy te ostatnie słowa zwrócił się ku nam adjutant i wskazując dwa wolne miejsca przy stole „Sąd już skończony“ rzekł poważnie, „p. S. za karę oddany jest pod opiekę Pani, proszę tylko baczyć, żeby gość nasz nie był głodny, bo go porwałem z Kurhausu w samą porę obiadową“. Był zwyczaj (lat temu 45), że panie prosiły swych towarzyszy przy stole o napisanie jakiego aforyzmu, odpowiedniego do okoliczności. W tym celu hr. Attems podała mi swój wachlarz. Prawie wszystkie skrzydła były już zapisane, pozostało jedno tylko miejsce wolne. „Niech pan mi opiszę swoją Walpurgię“, rzekła z uśmiechem. Napiisałem co innego, parafrazę dawnego wiersza niemieckiego o miłości, ułożoną zdaje się przez Pawła Lindaua o ile mogę przypomnieć w tych słowach:

Ob Lieben Leiden sei,
Ob Leiden Liebe ist,
Weiss ich zu sagen nicht.
Doch lieblich das Leiden ist,
Wenn Leiden Liebe ist.

Hrabiance aforyzm ten podobał się, zapomniała też na szczęście i o mojej niefortunnej podróży, ale adjutant, który z kolei wachlarz ten oglądał schował go przybierając surowy wyraz twarzy. „Panie S., rzekł z udaną powagą, wachlarz ten pokażę Najjaśniejszemu Panu“. „Nic nie szkodzi“, zauważyła hr. Attems, „i naszemu cesarzowi aforyzm ten podoba się, a zresztą niech pan się nie obawia, dodała żartobliwie, zwracając się ku mnie, nie panu nie będzie, nasz cesarz lubi polaków“.

Oto sielanka dworska z przed 40 z górą laty. Po tylu latach ujmująca postać cesarza Franciszka Józefa, wówczas w pełni sił wieku męskiego, ta postać dobrego do szpiku kości człowieka, żywo zarysowuje się w mej pamięci. Ten władca sprawiedliwy nie wahał się już wówczas przy każdej zdarzonej okoliczności powtarzać, że ceni nasz naród, że kocha polaków. Widziałem go potem przygarbionego pod ogromem nieszczęść rodzinnych, które weń uderzały jak grom po gromie (Mayerling, 1889 — Geneva, 1898), ale w złej czy dobrej doli był jednakowo dla nas usposobionym. Ta piękna postać rycerska spoczęła dziś w grobie, ale przywiązanie, które okazywał Polakom nie poszło w zapomnienie, odbiło się ono echem żalobnem poprzez całą Polskę, bo „Polacy, jak mawiał cesarz Franciszek Józef, „umieją być wdzięcznymi“ i, za okazaną przyjaźń, nawet za słowa współczucia i otuchy, oddaliby serce swoje, a nieraz i życie.

II.

Arcyksiążę Karol-Ludwik usiłuje poznać i zgłębić kwestję polską.

I starość ma swój urok. Lubilem zawsze towarzystwo starszych ludzi. Otacza ich pewna tajemniczość przeszłości; brzemie wieku, przebytych epok życiowych daje im powagę i budzi mimowoli szacunek. W Thalhofie, które ro-
iło się od młodych turystów i turystek, tchnących pełnią życia w jego bujnym rozkwicie, spotkałem także parę staruszków, samotnych, ale wystarczających sobie najzupełniej. Jak dwa siwe gołębie gruchali do siebie, uśmiechnięci zawsze dobrotliwie, patrzący wesoło i radośnie na świat ich otaczający, choć sami poważni bardzo. Ta pogoda na ich obliczu i w sercach budziły zazdrość niejednego młodego. Sędziwy uczoney, znany matematyk, Adam br. Burg*), zjeżdżał co roku z żoną swoją na letni odpoczynek do Reichenau. Lubiany i poważany przez rodzinę cesarską, jako dawny, niegdyś, nauczyciel cesarza Franciszka Józefa, przebywał latem w Reichenau jakby pod opieką dworską. Ile razy cesarz udawał się przez Reichenau na polowanie, odwiedzał byłego swego nauczyciela, a z zamku Wartholz, rezydencji letniej arcyksięcia Karola Ludwika, nieraz ktoś z rodziny arcyksiężęcej zjawiał się na tarasie w Thalhof dla odwiedzenia staruszków i zapytania się o ich zdrowie.

*) Urodzony 1796 r., umarł w Wiedniu 1882. Był profesorem Politechniki wiedeńskiej, członkiem Izby Panów i Wiceprezesem akademii nauk.

„Nudzi się mój stary“ rzekła raz do mnie pani Burg „oderwałam go od ulubionych książek i pism naukowych, żeby sobie odpoczął, ale brak mu kogoś coby z nim mówił o nauce, niema przed kim zwierzać się ze swoich myśli i dociekań naukowych. Niech pan go odwiedzi, może go pan potrafi rozerwać“.

„Postaram się“ odrzekłem i udałem się we wskazanym kierunku do lasu sosnowego, gdzie samotny, jakby drzemiący, siedział staruszek, troskliwie plaidem okryty przez żonę. Po zwykłej wymianie pytań o zdrowie, jak czas spędzam w Reichenau, zainteresował się staruszek książką, jaką spóstrzegł u mnie w rękę. Było to dzieło Littré'go: „Auguste Comte et la philosophie positive“.

„Co?“ zapytał zadowolony, „pan czytuje tak poważne rzeczy, miałem pana za człowieka światowego, bardzo inteligentnego, dodał z galanterią, ale nie posadzałem, żeby pan interesował się nauką tak poważną“.

Pokazało się jednak, że znany matematyk lekceważył zupełnie Augusta Comte'a. Przypomniało mi to opinię o tym myślicielu, jaką usłyszałem niegdyś od dziekana Szkoły Głównej Warszawskiej, sędziwego profesora A. Fronckiewicza, do którego umyślnie wybrałem się, żeby dowiedzieć się o zdaniu jego o Comte'cie jako o matematyku, w czasie gdy Comte'a studyowałem. A jednak obaj ci wybitni matematycy niesłusznie lekceważyli Comte'a, co dziwniejsze, że właśnie matematycy skłonni są najczęściej do uogólnień na polu spostrzeżeń społecznych i dziejowych, do ścisłego grupowania faktów i budowania kunsztownych systematów historyozoficznych na modłę wzorów matematycznych a nieraz i figur geometrycznych. Takim historyozofem matematykiem był u nas z wybitniejszych myślicieli Hoene Wroński, takim był poniekąd i mniejszej miary myśliciel, mało znany w nauce, inżynier Tadeusz Chrzanowski.

To lekceważenie Comte'a wynikało raz ze złej marki, jaką miał ten myśliciel w ówczesnej nauce niemieckiej, która potępiała go jako filozofa za brak podstaw metafizycznych w jego systemacie, powtóre z nieznamości samodzielnego dzieła jego. To też i br. Burg zmienił zdanie

swoje o wartości prac i poglądów historyozoficznych Comte'a, gdy rozwinałem przed nim tak wspaniałą i prostą zarazem klasyfikację nauk tego myśliciela, a Historyozofia Comte'a tak go zainteresowała i zelektryzowała, że gdyśmy z tym tematem na ustach wracali ku domowi, pani Burg, widząc starca niezwykle ożywionego i gestykującego, aż zdumiała i serdecznie uściśnęła mi dłoń przy pożegnaniu.

W parę dni potem otrzymałem liścik od pani Burg tej treści: „Niech pan spełni dobry uczynek i odwiedzi mego męża, jest smutny i znudzony, ciągle o pana pyta“. Wybrałem się do profesora z inną książką, jaką świeżo nadesłał mi, jako nowość księgarz Gerold z Wiednia. Dzień był piękny, pogodny i ciepły, skierowałem więc swe kroki od razu ku laskowi, w którym zwykł był siadywać staruszek. Spostrzegłem go zdaleka, siedzącego na tej samej ławce wraz z żoną i w otoczeniu wielu osób. Już miałem się cofnąć, nie chcąc przeszkadzać poufnej, jak sądziłem, rozmowie z grupą krewnych, którzy czasami przyjeżdżali z Wiednia w odwiedziny starca, gdy, przyspieszając kroku, zbliżył się do mnie młody, przystojny oficer i zapytawszy czy jestem p. S., przedstawił mi się jako adjutant arcyksięcia Karola Ludwika i prosił uprzejmie, żebym zbliżył się do grona osób, będących przy baronie, dodał przytem że „pozwoli sobie przedstawić mnie Jego Wysokości arcyksięciu Karolowi Ludwikowi“. Domyśliłem się, że to sprawka pani Burg, która oddawna postanowiła poznać mnie z arcyksięciem. Jakoż rzeczywiście, po zwykłej wymianie słów grzeczności i etykiety, „rad jestem“ dodał Arcyksiąże, „że nasz czcigodny, zacny professor znalazł w panu odpowiedniego towarzysza, pani Burg nie może się nachwalić uprzejmości i dobroci pana, a i dla mnie, dodał, nie jest pan zupełnie obcy, brat mój, cesarz, wspomina pana przyjaźnie a i całą Reichenau zna pana i szanuje za uratowanie zablakanych dzieci“. „Chłopcy“ rzekł zwracając się do dwóch zdala stojących, pięknych, wysmukłych miodzieńców, „zbliżcie się do nas“, „to moi synowie“, dodał a do nich: „jest to właśnie pan S. polak, o którym wam opowiadał wasz nauczyciel gdyście zwie-

dzali dolinę Thalhofu i oglądali miejsce, na które spuszczają z gór kłody drzewa. Młodzieńcy *) zbliżyli się ku mnie z pewnym zaciekawieniem, i wnet nawiązawszy wesołą, miłą pogawędkę, zaproponowali spacer w góry przez lasek sosnowy.

Gdyśmy wrócili, z towarzystwa naszego niezastaliśmy nikogo prócz oczekującego nas adjutanta, który w imieniu arcyksięcia wyraził żal, że z powodu nadmiernego zmęczenia barona musieli go odprowadzić do jego mieszkania i nie mogli zaczekać na nasz powrót, ale, dodał „Jego Wysockość polecił mi pożegnać pana słowami „do miłego widzenia“, będzie bowiem bardzo rad niejednokrotnie porozmawiać z panem“.

Młodzieńcy spytali go czy mają zaraz wracać do domu, czy też zdążą jeszcze odprowadzić mnie do zakładu Rudolfsbad, w którym mieszkałem. Skonfrontowane zegarki zdecydowały, że mają dość czasu, podążyli więc za mną zwawo i wesoło. Z ciekawością przyglądali się Kurhausowi, który widywali tylko z okien swego pałacu ale w którym nigdy przedtem nie byli. U wejścia nad drzwiami odczytali napis:

Gott segne dieses Haus,
Und alle die da kommen, ein und aus“.

„Und ihre schöne Taten“, dodał starszy z nich zwracając się ku mnie i ściskając mnie serdecznie za rękę. W mieszkaniu mojem, prócz świeżo wydanych w Wiedniu książek i fotografii okolic Reichenau, zwróciły ich uwagę: płaszcz sportowy, będący zarazem kołdrą podróżną i derką do powożenia oraz laska składana, mogąca służyć jako stołek i oparcie dla lunety polowej, przysłane mi z Wiednia a wykonane podług mego pomysłu przez braci Maurer na Grabenie,

*) Byli to: arc. *Franciszek Ferdynand*, późniejszy, od czasu tragicznej śmierci arc. Rudolfa (1889) domniemany a po śmierci ojca swego (1896) rzeczywisty, następca tronu austriackiego, zgładzony ze świata d. 28 czerwca 1914 r. i zmarły przedwcześnie (1906 r.) arc. *Otto*, ojciec obecnie panującego cesarza Karola I.

a także podometr paryski, którego jeszcze nie znali i mała miniaturowa bussola, której używałem w wycieczkach moich. Bussola ta oddała mi nieraz duże usługi, zwłaszcza w lesistych okolicach górskich. Dzięki tej właśnie bussoli mogłem w 1871 r. podczas silnej zawieruchy i huczącej burzy, która nagle i niespodzianie cały horyzont pokryła całunem, odprowadzić zabłąkane dzieci do chaty wieśniaczej. Ten fakt zapewne miał na myśli starszy z młodzieńców gdy, robiąc aluzję do napisu u wejścia do Kurhausu, wspominał o moich pięknych czynach. Podziękowałem mu serdecznie za ten odruch dobrego i szlachetnego serca młodzieńczego, ale wytlómaczyłem zarazem, że niezasłużyłem na taką pochwałę, bo czyn ten był rzeczą tak naturalną i tak zwykłą, poprostu obowiązkiem każdego przygodnego świadka zaskoczonych nieszczęściem wędrowców a zwłaszcza gdy owymi wędrowcami były małe dzieci, powracające do domu ze szkoły oddalonej od ich wioski i odgradzonej pasmem wzgórz lesistych. Na żądanie opowiedziałem uprzejmym i sympatycznym gościom moim szczegółowo to zdarzenie.

Oto gdy podczas owej burzy pamiętnej przystanąłem wśród drzew namyślając się, czy przeczekać w tem miejscu nawałnicę, czy też iść powoli ku domowi, kierując się bussolą pośród ciemności, w którą las był pogrążony, usłyszałem zdala płacz i wołanie, które, zagłuszone silnym grzmotem i przeciągłym echem, przycichły nagle. Zacząłem także wołać w nadziei, że odezwie się ktoś potrzebujący ratunku, ale napróżno, pioruny gęsto padające zagłuszały wszelkie wołanie. Po dość długim poszukiwaniu w około, znalazłem nareszcie w pewnej odległości grupę dzieci nawpół zemdlonych, tulących się do siebie i drżących ze strachu a może i z chłodu, bo były zupełnie przemoczone, chłopczyk lat 9 i dwie młodsze jeszcze dziewczynki. Chłopczyk postawiony na nogi chwiał się choć miną nadrabiał, dziewczynki w moich oczach omdlały. Na szczęście miałem flaszkę z winem, które je pokrzepiło, poczem dziewczynki odurzone widocznie trunkiem zasnęły normalnie. Korzystając z tego, przy pomocy dzielnego, jak się okazało, chłopca, zawinałem je w plaid i wzięwszy

na plecy ten żywy tłomok a chłopakowi zleciwszy iść za mną celem pilnowania, aby główki ich nie zwieszały się zbyt i miały swobodny oddech, ruszyłem w drogę idąc przebojem przez gęstwinę leśną i kierując się strzałką bussoli, oświetlanej częstymi błyskawicami. Uciążliwa była ta wędrówka leśna, i długo trwało nim wydobyliśmy się nareszcie na zbocze góry, pokryte już tylko wrzosem i ściętymi krzewami. Sam znużony i wyczerpany musiałem spocząć i straciłem nadzieję odprowadzenia dzieci do ich wioski przed nocą. Na szczęście jednak przebudzone dziewczynki, zrazu przerażone i prawie nieprzytomne, ożywiły się powoli i wzięły za punkt honoru iść dalej o własnych siłach. Pokrzepiona winem i resztkami bułek i chleba, mała trójka okazała się nawet zuchowatą i mężną a zwłaszcza najmłodsza Pepy. Ponieważ deszcz przerzedzał się i zaczęło się wyjaśniać, ruszyliśmy dalej, dziewczynki prowadziłem za rączki a chłopak niósł plaid, laskę moją i pusty tornister. Tak zeszedliśmy szczęśliwie do doliny Payerbachskiej, a że noc już zapadła poprosiłem o gościnność w najbliższej chacie wieśniaczej, gdzie dzieci uradowane spoczęły wygodnie. Rozpalono ogień, zagotowano mleko i pokrzepiono je gorącą strawą a ubranka tymczasem suszono przy kominię. Gdy mali wędrowcy zasnęli, uprosiłem właścicieli gościnnej chaty, którzy przedtem na moje zlecenie wybadali ich dokładnie z której wsi pochodzą, aby zechcieli nazajutrz odprowadzić ich, ewentualnie odwieść, do domu a mnie o szczęśliwym zakończeniu tej przygody zawiadomić w Reichenau, za co obiecałem im sutą nagrodę. Plaid, który dzięki swej wyjątkowej długości pomógł mi nieść wygodnie dzieci, a teraz przydał się na przykrycie ich wszystkich razem podczas snu, ofiarowałem moim malutkim przyjaciółom na pamiątkę wspólnej naszej wędrówki, idąc w tem poczęści za radą rezolutnej Pepy, której zdaniem, z tego plaidu możnaby było zrobić aż 3 duże kołderki. Uspokojony co do zdrowia i dalszego losu smacznie śpiących dzieciaków, pożegnałem uprzejmych włościan i z lekkim sercem ruszyłem późną już nocą do Reichenau. Koło domu znalazłem się nad ranem, a z uwagi na porę, przekraczającą o wiele regulamin za-

kładu kąpielowego, starałem się niepostrzeżenie dostać się do mego mieszkania, co mi się udało dzięki temu, że okno w nim było otwarte a od tarasu przestrzeń była niewielka, którą łatwo było przeskoczyć. Jednym słowem wszystko złożyło się pomyślnie i niktby o zdarzeniu tem nie wiedział, żeby nie relacya o dokładnem spełnieniu mego zlecenia, którą nazajutrz koło wieczora uroczyste, w strojach odświętnych, złożyli mi w kancelaryi zakładu kąpielowego, dumni ze swojej misyi, poczciwi wieśniacy z Payerbachu.

Gdy opowiadanie moje skończyłem, Brawo! zawołali młodzieńcy, a młodszy śmiejąc się dodał niech żyje rezolutna Pepy! i weseli, lekkim krokiem, zbiegli po schodach, obejrzwawszy się raz jeszcze na napis u wejścia: *Gott segne dieses Haus...*

Przypadkowo zawiązana znajomość z arcyksięciem Karolem Ludwikiem i najbliższą rodziną jego, urozmaicała mi monotony pobyt w Reichenau. Była to znajomość i przyjemna dla mnie i pożyteczna zarazem. Przyjemna, bo postawiony na stopie zwykłej światowej znajomości, z wykluczeniem wszelkich formalności i etykiety dworskiej, miałem możność, bez tych skrępowań, poznać ludzi i otoczenie ich ze sfery dotąd dla mnie prawie obcej, co wzbogacało moje doświadczenie życiowe i zaspakajało wrodzoną ciekawość nowych stosunków ludzkich. Pożyteczna, gdyż, mając dostęp tak ułatwiony do osób, od których w dużej mierze zależały i normalny rozwój i pomyślność części kraju naszego, starałem się przy wszelkiej okoliczności informować te osoby o potrzebach naszych i stosunkach, których dokładne poznanie mogłoby przyczynić się do ułatwienia bliższego porozumienia się pomiędzy życzliwą nam władzą państwową a społeczeństwem galicyjskiem. Dlatego, czy to na wycieczkach, czy to na zwykłych spacerach codziennych samotnych, snułem ciągle w myśli i układałem w pewną całość fakty, dotyczące dziejów naszych, kultury, usposobień, fakty, które uważałem za stosowne rozwijać następnie w dłuższych

rozmowach z osobami dostojnymi, pragnącemi bliżej zapoznać się z dziejami narodu naszego i odrębnościami bogatej kultury jego. Najwięcej zainteresowania w rzeczach, dotyczących Polski, okazywał arcyk. Karol Ludwik, uważałem też za swój obowiązek informować go w tych kwestiach. Nadzwyczajna uprzejmość, serdeczność i zapewnienie o wdzięczności z tamtej strony, potęgowały zapał informacyjny z mojej strony.

„Antagonizm, jaki uwydatniają dzieje pomiędzy Rosją i Polską, to nie tylko chęć okrojenia terytorjum sąsiada lub zaboru części jego posiadłości z ludnością pobratymczą, to nie tylko sprawa polityczna w ścisłym, zewnętrznym pojmowaniu, ani ekonomiczna w pojmowaniu wewnętrznej gospodarki państw,—to sprawa postannictwa dziejowego, mówiąc językiem dawniejszych historyzofów. Aut — aut, albo my albo — wy. Dwie kultury, zaszczerpione na jednym pniu rassowym, wydały odrębne latorośle, latorośle, które, z biegiem czasu, rozwinęły się w konary olbrzymie, samodzielne. Im większe pokrewieństwo rassowe, tem antagonizmy kulturalne poszczególnych narodów zaostrzają się wśród nich silniej, niż względem innych narodowości. Tak bywa i w zakresie wierzeń religijnych; pomiędzy odszczepieńcami wyznaniowymi większa panuje niechęć i nieufność, niż pomiędzy wyznawcami odrębnych religij. Niechęć, która w warstwach nieoświeconych przechodzi nawet w nienawiść. Bo rozejście się od wspólnej drogi jest silniejszym odchyleniem psychicznym, niż kroczenie po różnych, równoległych drogach choć odrębnych, do jednego jednak wiodących celu. Kiedyś w oddali wieków narody jednej rassy zleją się w jedną całość, ale, nim to nastąpi, kulturalne różnice odrośli tych samych ras silniej akcentują się antagonizmem w dziejach, niż kultury odrębnych ras pomiędzy sobą. I dlatego nim nastąpi na dalekim widnokregu dziejowym zbliżenie Rosyi i Polski, ten antagonizm kulturalny musi osiągnąć swego zenitu. Ze szkodą dla kultury odbywa się, mechanicznie, siłą zdobyta, przewaga jednej kultury, depcząca w politycznym zaciętrzewieniu drugą kulturę. Gdy jednak obie nie mogą jednocześnie istnieć bez rozterki i chęci opanowania jedna drugiej, każda zmuszoną jest (politycznie) szukać pod-

porę a raczej oparcia się o inne państwa, które chwilowo zainteresowane są w popieraniu rozwoju tych poszczególnych przedstawicieli odmiennych kultur, lub zbliżone są do nich elementami własnej kultury (przeszłością dziejową, religią, oświatą)“.

Oto ogólny, najogólniejszy pogląd na kwestyę polsko-rosyjską, jakby historyozoficzne ujęcie charakteru tego antagonizmu. Taki pogląd wyrobiłem sobie wówczas i pogląd ten przedstawiłem arcyksięciu Karolowi Ludwikowi w ostatniej, długiej rozmowie mianej w rezydencji jego letniej pod Reichenau w 1880 r. Tezę tę ogólną popierałem danemi z dziejów i literatury politycznej obu narodów.

Pogląd ten wielce zainteresował arcyksięcia i trafił do jego przekonania, a zwłaszcza szczegóły, przytaczane na poparcie tej tezy, wydały mu się nader ciekawymi i przekonywającymi. Wyraził chęć przedstawienia tych poglądów bratu swemu i prosił czybym nie zechciał po powrocie do Warszawy, w wolnym czasie, naszkicować mój pogląd historyozoficzny, celem doręczenia go cesarzowi.

Oto geneza mego memoriału, opracowanego w parę lat potem „*ad usum imperatoris*“.

III.

Rewelacja o nieznanym dotąd memorjale w sprawie polskiej, przesłanym cesarzowi Franciszkowi Józefowi.

Najjaśniejszy Panie,

„Przed laty jako młodzieniec w uroczem Reichenau doznałem przychylnego uznania ze strony Waszej Cesar-
skiej Mości dla umiłowanej już wówczas przezemnie pracy
naukowej. Dziś po długich studyach, w zakresie dziejów
i socyologii, upoważniony przez Jego Wysokość Arcyksięcia
Karola Ludwika podczas pobytu mego w temże Reichenau
w 1880 r., ośmielam się przesłać W. C. M. memoryał, za-
wierający szereg myśli i poglądów, dotyczących przyszłego
ukonstytuowania się państw środkowej Europy, myśli, przy-
znaję to szczerze, powstałych głównie pod wpływem pragnie-
nia ujrzenia kiedyś wskrzeszonej ojczyzny mojej, powołanej
wraz z innymi państwami do pracy kulturalnej świata.

Polska, której nie danem było zjednoczyć pod swoim
bertem opiekniczem narody szczepu słowiańskiego południo-
wej Enropy, jako przeciwwagi potęgi wschodu i północy, re-
prezentowanej przez zaborczą Rossyę, dziś pokutuje rozczłon-
kowana. Ale pod bertem Waszej Cesarzkiej Mości może ona
spełnić swą misyę kulturalną względem Słowian południo-
wych, pomagając jednocześnie dynastji Habsburgów do ode-
grania doniosłej roli zrzeszenia tych państw na zasadzie kon-
stytucji liberalnej i stworzenia, pod protektoratem państwa
Austryjackiego, nowego związku państw szczepu słowiańskiego,
który rywalizowałby z cesarstwem północy. Dynastja Habs-

burgów odzyskałaby dawną swoją rolę kierowniczą wszechpotężnego państwa Austro - Słowiańskiego i Węgierskiego, w którym co do Słowian przypadłaby Polsce zaszczytna rola kierownicza i kulturalna. Miłość kraju rodzinnego, ukochanie przeszłości jego, oraz pragnienie stworzenia dla Polski nowej roli dziejowej, dającej jej możność wykrzesania ze swego łona nowych idei i dążeń kulturalnych, zbiega się tu z życzeniem wskazania dla starożytnej dynastji W. C. M. nowego pola działania, które okryłoby ją nowym blaskiem, wynagradzając chwilowe upuszczenie steru kierowniczego nad Rzeszą niemiecką. Rozwijając bogate zarodki kulturalne w łonie swoim i grawitując ku zabranym częściom swoim wśród innych państw, Polska potężniałaby siłą samorozwoju narodowego i kulturalnego a zjednoczona z czasem pod jednym berłem byłaby potężną sojusznicą narodu z którym łączyłaby ją odtąd dawna przyjaźń i jednakie cele wysokiej humanitarnej kultury. Stając się niezależną z biegiem czasu, tem silniejszy mogłaby mieć związek kulturalny i dziejowy z potężnym państwem Austryjackim, którego berło byłoby uosobieniem unii osobistej dynastji, opartej na wyższych, niż zwykle zaborcze, celach, postępu, swobody wyznaniowej i humanizmu. Zabezpieczona w swych podstawach terytoryalnych i nie obawiając się zakusów zaborczych sąsiadów, część energii, jaką zużywa dotąd na obronę swojej narodowości, oddałaby na usługi nauki i kultury, niosąc bogaty wkład do dorobku postępu świata.

Oto myśli zasadnicze mego memoriału, są tam nadto skondensowane wyniki pracy mojej nad stroną ekonomiczną, oparte na badaniu zasobów materialnych i duchowych wielkiego państwa zrzeszonego przyszłości, oraz uwagi, dotyczące sposobu powolnego zrzeszania się ludów na mocy prawa „równi z równymi“, „wolni z wolnymi“ dobrowolnie łączących się jedną myślą przewodnią kulturalną i dążących do jednego zaszczytnego celu — wszechpostępu przy zobopólnem poszanowaniu odrębnych cech swoich narodowych i praw historycznych.

Ośmielony okazywaną stale ziomkom moim sympatją, odczuwając sercem przyjazne, niemal ojcowskie usposobienie W. C. M. dla Polaków, pragnę tą moją pracą okazać wdzięczność, jaką mam dla W. C. M. oraz dać dowód wyso-

kiego szacunku i poważania dostojnej Osoby Jego, a zarazem zaufania w pobieżliwość dla młodego pióra mego, nie wachając się przedstawić na rozważenie Jego, myśli i poglądów, które wyrosły wśród cichej i samotnej pracy w bibliotece mojej, pracy stale zagrzewanej pragnieniem urzeczywistnienia marzeń moich o wskrzeszeniu narodu polskiego i wzięcia przezeń czynnego udziału w ewolucyi dziejowej kultury świata“.

Oto list pisany w języku francuskim, który dołączyłem do memoryału wysłanego z Warszawy do rąk cesarza Franciszka Józefa. Kopii memoryału, niestety, nieposiadam. Osoba, która podjęła się przewieźć go, obawiała się tak dalece odpowiedzialności za ten krok, że wymogła na mnie, nietylko przyrzeczenie bezwzględnej tajemnicy, ale zarazem zniszczenia wszelkich śladów tego memoryału u jego źródła. Hr. Hubert Kr., posiadacz obszernych włości na Podolu, obawiał się skutków podjęcia się tej misyi. Ztąd nie miałem możności, ani korespondować z nim w tej materyi, ani otrzymać bezpośrednio od niego wiadomości o doręczeniu przezeń mego memoryału w ręce odpowiednie. Mało tego, wskutek zbiegu okoliczności dotąd *na pewno* niewiem czy memoryał ten był we właściwym czasie doręczony cesarzowi czy nie. I tak, przedwczesna śmierć hr. K., która nastąpiła w kilka lat po wyjeździe jego z Warszawy, niedała mi możności stwierdzenia tego faktu. Przytem ponieważ hr. K. jechać miał na Kraków, uprosiłem go, żeby, przybywszy tam, zapoznał z moją pracą wybitniejszych członków społeczeństwa naszego. Jakkolwiek bowiem memoryał ten był czysto osobistą moją pracą, powziętą z własnej mojej inicjatywy, nie chciałem w obec osób kompetentnych i kraj miłujących pokrywać go tajemnicą, a nawet upoważniłem hr. K. do zniszczenia mego rękopisu, o ile wybitniejsi przedstawiciele społeczeństwa galicyjskiego uznaliby go za nieodpowiedni lub nie na czasie, to jest za rzecz mogącą w jakibądźkolwiek sposób zaszkodzić naszej sprawie narodowej. „Chętnie“, jak mówiłem do hrabiego, „uczynię ofiarę z mego autorstwa choć przyznam się nie bez pewnego żalu, o ile ludzie starsi odemnie i doświadczeńsi w polityce, oświadczą się prze-

ciwko wręczeniu go cesarzowi“. Oto przyczyny dla których niemam zupełnej pewności, czy memoriał ten był w całości, to jest tak jak go napisałem, doręczony cesarzowi, czy nie, i w ogóle na pewno nie wiem, co się z nim dalej stało. Z drugiej jednak strony mam powody do mniemania, że był w swoim czasie i w niezmienionej redakcyi doręczony i mam nawet poważne dane, pozwalające przypuszczać, że był wdzięcznie przyjęty; jedynie dzięki delikatności rodziny cesarskiej i obawie narażenia mnie w czemkolwiek w obec rządu rosyjskiego, przypisuję ścisłą tajemnicę zachowaną i z tamtej strony. Co do mnie, unikałem, po przesłaniu mego memoriału, zetknięcia z dworem austriackim, bojąc się, aby to nie miało pozorów narzucania się i oczekiwania podziękowania za spełnienie życzeń arcyksięcia Karola Ludwika. W następnych zaś latach okoliczności tak się składały, że przez długi czas nie opuszczałem Warszawy, a ztąd nie miałem możności dowiedzenia się osobiście o losach memoriału.

Dzisiaj, gdy konstellacya polityczna Europy środkowej uległa może zmianie zasadniczej, gdy sprawa odrębności naszej nabiera coraz większego uznania wśród rzeszy narodów i państw całego świata, marzenia moje młodzieńcze, wypowiedziane i naukowo uzasadnione w dojrzałym już wieku, t. j. przed 35 z górą laty, stają się dla mnie rzeczą żywą i na czasie, a memoriał mój pisany w chwili zupełnego zapomnienia o nas przez cały niemal świat cywilizowany, poczęty w ciszy bibliotecznej, zaczyna tętnieć nowym życiem w myśli mojej, i, jakby obudzony z długiego snu, mimowoli towarzyszy radosnemu oczekiwaniu i nadziejom, jakie zwiastują nam nieumilkłe jeszcze surmy bojowe i szczęk oręża, oraz krew braci naszych, jaką toczy nieubłagana Nemezis na wszystkich krańcach dawnej Rzeczypospolitej, a nawet na obcych nam zupełnie ziemiach, Oby żywną była ta krew ofiarna i wolność nam przyniosła, ziszczając po tylu latach oczekiwania i udręczenia, marzenia dziadów i ojców naszych.

Warszawa, 25 Grudnia 1916.

Seweryn Smolikowski.

